

POWIEŚĆ, KTÓRA PORUSZYŁA SUMIENIE HISZPANII

DULCE CHACÓN

UŚPIONY
GŁOS



Kobieta, której było pisane zginąć, miała na imię Hortensia. Miała ciemne oczy i nigdy nie podnosiła głosu. Tylko wtedy, gdy dusiła się ze śmiechu, wymykało się jej Oj, matulu, nad którym nie umiała jeszcze zapanować, i wykrzykiwała je coraz głośniej, trzymając się za brzuch. Większość dnia spędzała na pisaniu w niebieskim zeszyte. Swoje długie włosy splatała w warkocz opadający na plecy. Była w ósmym miesiącu ciąży.

Przyzwyczała się już do mówienia szeptem, nie było to łatwe, ale się przyzwyczała. I nauczyła się nie zadawać sobie samej pytań, pogodziła się z przegraną i z tym, że poczucie klęski, nie pytając o pozwolenie i nie udzielając żadnych wyjaśnień, wpycha się głęboko, w najodleglejsze zakamarki duszy. I była głodna, i było jej zimno, i bolały ją kolana, ale nie mogła przestać się śmiać.

Więc się śmiała.

Śmiała się, bo Elvira, najmłodsza ze współtowarzyszek, włożyła do rękawiczki groch, żeby zrobić głowę pacynce, ale jego ciężar sprawiał, że nie mogła nią poruszać. Elvira nie dawała za wygraną. Jej drobne palce zawzięcie walczyły z wełnianą rękawiczką, a ona wydawała z siebie piskliwe dźwięki, cała pochłonięta tym jednoosobowym teatrzykiem, wymyślonym po to, by odegnać strach.

Strach Elviry. Strach Hortensii. Strach kobiet, które przyzwyczały się rozmawiać szeptem. Strach w ich głosach.

I strach w ich spłoszonym wzroku, odwracany, żeby nie widzieć krwi. Żeby nie widzieć strachu w równie spłoszonych oczach ich bliskich.

Był dzień odwiedzin.

Kobieta, której było pisane zginąć, jeszcze nie wiedziała, że ma zginąć.

Pacyнка Elviry znów zmienia się w rękawiczkę na jej prawej ręce. Hortensia wpatruje się w nią, nie przestając gładzić się po brzuchu i bardzo uważając, żeby Elvira nie zorientowała się, że na nią patrzy. Rękawiczka. Zwykła rękawiczka, mała rękawiczka zrobiona na drutach kochającymi dłońmi matki może pogrążyć w rozpacz, jeżeli nie jest się wystarczająco czujnym, jeżeli zagapimy się nawet przez jedną krótką chwilę, niby nic, a może wystarczyć, by czyjaś twarz odwróciła się nagle i czyjeś oczy zobaczyły to, czego nie powinny zobaczyć.

Hortensia znajdowała się obok Elviry w rozmównicy, sali, której środkiem biegł korytarz osłonięty po obu stronach gęstą metalową siatką. Korytarzem przechadzała się strażniczka pilnująca więźniarek i ich bliskich. Elvirę odwiedzał dziadek, a Hortensię siostra Pepa. Żadne z nich nie mogło nic usłyszeć. Hortensia gestykulowała, aby pokazać siostrze, że ciąża nie przysparza jej żadnych dolegliwości. Mówiła tylko tyle, ile trzeba, wymawiała wszystkie słowa wyraźnie, jedno po drugim, powoli, żeby Pepa mocno ucałowała od niej męża. I obejmowała siebie, żeby przesłać jej uścisk.

Zgiełk wśród odwiedzających nie pozwalał Hortensii usłyszeć tego, co usilnie starała się jej powiedzieć siostra. Krzycząc, Pepa próbowała przekazać najświeższą wiadomość, że nie ustalono jeszcze daty procesu.

– Nie wiadomo, kiedy odbędzie się proces!

– Co?!

– Proces, nic jeszcze nie wiadomo!

Hortensia chwyciła się siatki, która odgradzała ją od korytarza, a ten z kolei oddzielał ją od Pepy. Pepa również chwyciła się siatki naprzeciwko, chcąc zbliżyć się do siostry; wtedy właśnie obie zobaczyły, że strażniczka chodząca po korytarzu odwróciła głowę i zatrzymała spojrzenie na rękawiczce Elviry.

Groch, którym Elvira wypchała główkę pacynki, był w dalszym ciągu czerwony od krwi. Na oczach zdumionego dziadka, patrzącego zza siatki naprzeciwko, Elvira zdjęła z dłoni laleczkę i nią pomachała. Strażniczka przeszła obok obojętnie, przekonana, że dziewczyna stara się rozbawić dziadka jakąś pantomimą, i maszerowała dalej zdecydowanym krokiem, z rękoma skrzyżowanymi na plecach. Kiedy była już wystarczająco daleko, Elvira wyjęła z rękawiczki czerwony od krwi groch i palcem pokazała na swoje kolana. Półmrok i dystans nie pozwoliły dziadkowi dostrzec ran wnuczki, ciągle jeszcze świeżych.

Nagle strażniczka staje. Odwraca głowę. Patrzy groźnie. Wrzeszczy Elvira, do tyłu! Podchodzi do niej spokojnie i patrzy na nią, zaciskając wargi w grymasie, który ma udawać uśmiech. Trzymając wciąż ręce skrzyżowane na plecach, strzela palcami i wrzeszczy ponownie:

– Elvira, do tyłu!

Elvira cofa się o krok dokładnie wtedy, kiedy strażniczka wali lewą ręką w siatkę na wysokości jej twarzy.

– Koniec wizyty! Wracaj do swojego bloku i tam na mnie zaczekaj!

I dodaje ciszej, zwracając się do dziadka Elviry:

– Proszę już iść.

Staruszek patrzy na kobietę stojącą obok, siostrę tej, której pisane było zginąć, na Pepę. Patrzy zdezorientowany,

ale nie pyta, co się stało, bo o wiele lepiej nie zadawać pytań.

– Niech pan lepiej już stąd idzie. Dla pana i pańskiej wnuczki odwiedziny się skończyły.

Elvira chowa groch do kieszeni, wsuwa maleńką dłoń w rękawiczkę i ją też wkłada do kieszeni, mimo że chciałyby pomachać dziadkowi na pożegnanie. Staruszek również nie ma odwagi się z nią pożegnać. Patrzy na nią. Odwraca się. I przeciska pomiędzy odwiedzającymi, którzy nadal krzyczą i starają się teraz dopchać do wolnego miejsca przy siatce. Odchodzi, nic nie rozumiejąc.

Nic. Zupełnie nic.

Nie spadł jeszcze pierwszy śnieg. Na dziedzińcu kobiety zbijały się w grupki, jak gdyby dodając przemarznięcie do przemarznięcia, miały nadzieję uciuć chociaż odrobinę upragnionego ciepła. Chociaż odrobinę. Wyczekująco spoglądały w niebo, licząc na to, że wreszcie trochę poprószy. Kiedy pada śnieg, zaraz robi się trochę cieplej, upierała się Reme, najstarsza z grupy, ale Tomasa, Estremadurka o oliwkowej cerze i nieco skośnych oczach, patrzyła na nią z powątpiewaniem.

– No mówię ci, że robi się cieplej.

– Akurat. Co ty tam wiesz.

– A wiem, bo mówił mi syn, który mieszka w León. A poza tym w zeszłym roku, gdy spadł śnieg, zrobiło się trochę cieplej.

– Pożyjemy, zobaczymy.

Już trzy dni wpatrywały się w niebo.

– A co twój syn robi w León?

– Pracuje w kopalni.

– A widział morze?

– Morze? Przecież w León nie ma morza.

– A, nie ma tam morza.

– Za to raz widział Pasionarię.

– Akurat!

Reme, by zająć czymś ręce, czesała Hortensię, raz po raz splatała jej włosy w warkocz, a potem znów rozplatała.

- Takie samiusieńkie włosy miałam. Długie i czarne.
- To prawda, że twój syn widział Pasionarię?
- Z daleka, ale widział.

Już od trzech dni tak patrzyły w niebo. I przez te trzy dni nie było z nimi Elviry. Spędziła je w karcerze, bo próbowała wytłumaczyć dziadkowi, że podczas przesłuchań zniosła ból, że klęczała na grochu i mocno zaciskała usta, że nie odpowiedziała na ani jedno pytanie i nie zdradziła, kim jest jej brat Paulino.

Elvira nie chce dołączyć do kółeczka, stanąć obok Reme, Tomasy i Hortensii, by choć odrobinę się ogrzać. Siadła bez sił w kącie dziedzińca i gładzi się po policzkach rękawiczkami, które zrobiła dla niej matka.

I zaczyna kasłać.

- Elvira się rozchorowała.
- Ma gorączkę, od kiedy wyszła z karceru.
- Trzeba zawiadomić gwardzistkę.
- Raczej się nie przejmie.

Reme przestała się bawić włosami Hortensii.

- I tak pójdę.
- A idź, szybko wrócisz.
- Straszna z ciebie zrzęda, Tomaso. Ciągłe tylko gderasz i gderasz. Tylko gderać potra sz, do licha!

Węmiana chusta otula ramiona Tomasy, która bierze się pod boki i wyzywająco spogląda na Reme.

– A co innego, do cholery, można tu robić?

Kłótnie Tomasy i Reme nigdy nie trwały długo. Zawsze zanim zdążyły na dobre się zacietrzewić, wkraczała między nie Hortensia, żeby przywołać je do porządku. Ale tym razem Hortensia ich nie słyszy. Bo w skupieniu przygląda się Elvirze. Uważa jednocześnie, by Elvira nie zorientowała się, że jest obserwowana.

Hortensia już nie głaszcze się po brzuchu. Trzymając się za nerki, podchodzi do kąta i nachyla się nad Elvirą, która

gładzi się po policzkach rękawiczkami zrobionymi przez matkę niedługo przed jej śmiercią.

A Elvira cała się trzęsie.

Gorączka to tylko kolejny rodzaj zamroczenia. A zamroczeni śnią. Śnią, że są gdzieś daleko. Śnią, że znaleźli się znów w domu. Daleko stąd. W powietrzu unosi się woń mandarynek. I Elvira znów jest w domu. Zasluchana w dobiegającą z radia muzykę.

Oczy zielone, jak mięta zielone...

Elvira uwielbia Miguela de Molinę i Celię Gámez, i w ogóle zarzuełę, przepada też za Antoñitą Colomé i doñą Conchą Piquer. Chciałaby zostać piosenkarką i żeby tacy *maestros* jak Valverde, León czy Quiroga pisali specjalnie dla niej piosenki, równie piękne jak *Oczy zielone, błyszczące jak nóż*.

...i zielona, zielona cytryna.

Ale jej ojciec stanowczo przykazał matce, by nie pobłażała fanaberiom córki. Więc matka, doña Martina, wyłącza radio, kiedy słyszy kroki nadchodzącego męża. Ona co prawda nie uważa, że te piosenki są nieprzyzwoite, ale i tak wyłącza radio, żeby go nie irytować.

– Mamo!

Doña Martina wyłączyła radio. A Reme wraca, mówiąc, że w szpitalu nie ma miejsc, że strażniczka powiedziała, że szpital jest przepełniony.

– Ta gwardzistka po prostu nie ma serca.

Estremadurka o oliwkowej cerze patrzy na nią tak, jakby chciała powiedzieć A nie mówiłam, ale nie mówi nic, spuszcza

tylko wzrok i wykrzywia mocno zaciśnięte usta. Nie pozwala, by Hortensia zbliżała się do pryczy Elviry. Za nic nie chce dopuścić, by się zaraziła, przecież jest w ciąży.

– Nie podchodź, bo a nuż... I tak powyżej dziurek w nosie mamy tego, co mamy.

I kładzie zimny okład na czole, które płonie, a potem na szyi i na karku.

– Mamo!

Gorączka jednak nie spada. Elvira w malignie śni z otwartymi oczyma i w tajemnicy przed ojcem śpiewa mamie i bratu kuplet. Biją jej brawo. Ona czuje się artystką. Nigdy nie zrozumie, skąd u ciebie ten dryg, mówi matka, ustawiając na stole salaterkę z mandarynkami. Nigdy tego nie zrozumie, powtarza.

– Pojęcia nie mam, córeczko.

Nie ma pojęcia doña Martina, bo przecież sama jest córką sztywnego wojskowego, urodzoną w Pampelunie, i żoną innego wojskowego, jeszcze sztywniejszego, o ile to w ogóle możliwe, która wzięła ślub w Burgos, i nikt z jej rodziny ani rodziny męża nigdy nie przejawiał żadnych artystycznych skłonności.

– To przez Walencję, mamo. Przez to słońce. Te kwiaty. I ten klimat. Wszystko to wina Walencji. No i twoja, bo tutaj ją urodziłaś, jak pomarańczę jakąś.

Paulino się uśmiecha. Paulino. Jej starszy brat. Chociaż nie poszedł jeszcze na wojnę, już jest dla siostry bohaterem. Elvira ubóstwia Paulina, który wyśmiewa się z niej, żartuje z matki, żartuje z nich obu. I Elvira skarży się żałośnie:

– Mamo!

A Hortensia ciągle coś notuje w swoim niebieskim zeszyte. Pisze do Felipe. Pisze, że ich dziecko już bardzo mocno kopie i że jeśli urodzi się chłopiec, będzie się nazywał tak samo jak on. Pisze, że boi się, że Elvira umrze, tak jak umarły Amparo i Celita, kaszląc przeraźliwie, tak jak umarły dzieci

Josefy i Amalii, tych z pawilonu matek. Pisze, że rudowłosa dziewczyna ma bardzo złośliwą gorączkę. I że nie mogą nic dla niej zrobić. Że wyciskają sok z połówek pomarańczy, które każda z nich dostaje do posiłku. Pisze, że nie udaje im się dużo z nich wycisnąć, bo są strasznie suche.

– Mamo!

Reme i Tomasa spoglądają po sobie, a potem patrzą na Hortensję. Reme wspomina matkę. Tyle już razy miała ochotę zawołać ją w ten sam sposób, jak Elvira woła teraz swoją, chociaż matka Reme nie żyje od ponad dwudziestu lat, tyle już razy, ale nigdy się nie odważyła. Tomasa sadza Elvirę i łyżka po łyżce poi ją sokiem wyciśniętym z połówek pomarańczy z ich deseru. Elvira z trudem przęłyka. I między jedną łyżką a drugą żali się:

– Mamo!

Tomasa też tęskni za matką, podobnie jak Hortensia, która unosi wzrok znad niebieskiego zeszytu.

– Mamo!

I skarga Elviry jest skargą ich wszystkich.

Przy bramie więzienia dziadek Elviry czeka na kobietę, którą poznał podczas ostatniej wizyty. Nie pozwolili mu na widzenie z wnuczką. Jest chora, tak powiedzieli. Ale wzięli od niego blaszaną puszkę, w której zawsze przynosi jej jedzenie, i oddali pustą, dobry znak. A teraz dziadek Elviry czeka na Pepę, siostrę kobiety, która pisze swój dziennik w niebieskim zeszycie.

– Proszę pani!

Jest niewysoka i szczuplutka, jasnowłosa. Idzie drobnym krokiem, szybko, bo zaczęło padać.

– Proszę pani!

Ma na sobie za duże palto. Spod chustki, którą zawiązała na głowie, czarnej i znoszonej, wyslizgnął się jasny kosmyk.

– Proszę pani!

Staruszek podchodzi do niej i lekko uchyla kapelusza w geście powitania.

– Do mnie pan mówi?

– Przepraszam panią...

Żadne z nich nie ma parasola. Oboje mają intensywnie niebieskie, prawie lazuruowe oczy.

– Wie pani coś o mojej wnuczce?

– O kim?

– O mojej wnuczce. Nazywa się Elvira Gonzáles Tolosa.

– To ta ruda dziewczyna?

- Tak, właśnie ona.
 - Jest w tym samym bloku co moja siostra, ale dziś nie widziałam jej w rozmównicy.
 - Właśnie.
 - Teraz sobie pana przypomniałam.
 - Ach tak? Przypomniała pani sobie?
- Staruszek podnosi kłapy marynarki, widać, że mu zimno. Ma na sobie czarny garnitur i czarny krawat, ale nie ma palta, co dziwi Pepę, bo przecież wygląda na bogatego, starannie ubrany, nawet ten pilśniowy kapelusz taki elegancki.
- Tak, wyrzucili pana ostatnim razem, pamiętam. Schowajmy się gdzieś, bo przemokniemy do suchej nitki.
- Staruszek drepcze za nią posłusznie. Chowają się przed deszczem, a on jeszcze raz uchyla kapelusza.
- Przepraszam, nie przedstawiłem się. Nazywam się Javier Tolosa Ibarmengoindia.
 - Jezusiczku!
 - Miło mi panią poznać.
 - Josefa Rodríguez García, do usług.
- Pepie robi się go żal, taki szarmancki, a taki przemarznięty. Ich niebieskie spojrzenia spotykają się po raz pierwszy. Ona ma na sobie palto ojca i nie wie, nie może wiedzieć, że dziadek Elviry sprzedał swoje ostatnie zaledwie tydzień temu.
- Teraz dziewczyna czeka, aż on się odezwie. Przygląda mu się, jaki jest chudy, jaką ma cienką i bladą, niemal przezroczystą skórę, jakie eleganckie, długie palce, które ciągle przytrzymują kłapy marynarki, by osłonić szyję.
- Chciał pan o coś zapytać?
- Dziadek Elviry zaczyna mówić, a Pepa rozpoznaje ten łamiący się ton głosu. Zna ten ton aż za dobrze. Te przemilczenia. Te słowa, najpierw powoli i starannie dobierane, a potem dławione, zanim jeszcze dotrą do ust.
- Tak. Bo powiedzieli mi, że jest chora.

Słowa, które nie chcą zostać wypowiedziane.

– Może pani siostra? Może wspomniała coś o mojej wnuczce?

Chce zapytać o coś więcej.

– Wie pani, czy...?

Błaszana puszka drży w dłoniach don Javiera Tolosy Ibar-mengoindii. Czy ona żyje, chce zapytać. Pepa wie, że właśnie o to chce zapytać dziadek Elviry. I wie, że nie ma odwagi.

– Wzięli od pana jedzenie, prawda?

Staruszek przytakuje, pokazując pustą puszkę.

– Wzięli.

– Więc nie ma się czym martwić.

I Pepa opowiada mu o tym, jak ostatni raz odwiedziła swojego ojca w więzieniu Porlier i przyniosła pełną puszkę z powrotem do domu.

– Wie pan, mój ojciec był tokarzem w Kordowie.

Mówi, że przyjechali tu z Kordowy po wojnie. Bo ojciec był za Republiką, a u nas w mieście wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli.

– Ale i tutaj też musieli wiedzieć, bo jak tylko znaleźliśmy się w Madrycie, od razu go zamknęli.

Już mu więcej nie przynosi jedzenia, już go nie potrzebuje, tak jej powiedzieli w więzieniu Porlier. I chociaż wciąż wyciągała rękę, nie wzięli puszkę. Twojego ojca już tutaj nie ma. A gdzie jest? Już go nie ma. Idź stąd, dość tych pytań, idź stąd, już nie masz po co tu wracać. Tylko bez żadnych scen i hysterii.

– Tak się dowiedziałam.

Mówi, wskazując swoją puszkę.

Tak się dowiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy ojca.

– Ale pan może być pewien, że pańska wnuczka nadal jest w środku.

Tym razem Pepa wskazuje puszkę dziadka Elviry.

Staruszek powstrzymuje łzy. I Pepa też.

Pepa nadal się zastanawia, jak znalazła w sobie tyle odwagi, by przekazać Hortensii wiadomość. I chociaż wróciła z więzienia kilka godzin temu, wciąż jest zdenerwowana. Kilka godzin temu pożegnała się z dziadkiem Elviry. Potem spoglądała za don Javierem, który oddalał się w deszczu, ściskając z czułością pustą puszkę. Kilka godzin temu wróciła do domu państwa. A zupa dla don Fernanda jest już gotowa.

Drży.

Musi uważać.

Bo wcale nie jest odważna, w przeciwieństwie do siostry, która nie wahała się ani chwili, by wstąpić do milicji. A potem do partyzantki; przyłączyła się do partyzantów zaraz po śmierci ojca, nie zważając na to, że jest w piątym miesiącu ciąży.

Okłamała dziadka rudowłosej dziewczyny.

Okłamała tego sympatycznego starszego pana o przedziwnych nazwiskach, bo w dzisiejszych czasach niektóre prawdy lepiej zachować dla siebie. Ojca nie zabrali dlatego, że był za Republiką, zabrali go, bo wiedzieli, że mąż Hortensii przyłączył się do partyzantów; a zabili go, bo nie chciał powieścić, gdzie jest zięć. Jej ojciec był odważny. Równie odważny jak Hortensia. Ją też zabierali na przesłuchania, kiedy już nie mogli przesłuchiwać ojca. Prawie codziennie ją zabierali, mieli nadzieję, że któregoś dnia powie im, że jej mąż jest

w oddziale Czarnej Kurtki, i że powie im gdzie. Że któregoś dnia Hortensia zmęczy się tymi codziennymi zatrzymaniami, codzienną drogą na komisariat, codziennym strachem ściskającym za gardło. Ale Hortensia się nie zmęczyła. Dzielnie zniosła wszystko. I poszła za swoim mężem dopiero wtedy, gdy pochodzący z Barcelony o cer śledczy podczas przesłuchania kopnął ją w brzuch. Przestraszyła się tylko tego, że straci dziecko. Hortensia była odważna.

Pepa nie wytrzymałaby ani jednego kopniaka. Nie dałaby rady. Gdyby ją złapali, złapaliby wszystkich. Jest zupełnie jak matka, która nie przeżyła zimy po przedwczesnym porodzie, kiedy wydała ją na świat. Drobną, słabą, wątłą i jasnowłosa, jakby czegoś jej zabrakło, jak matka.

Musi bardzo uważać.

Myśli.

I mocno ściska tacę, bo jeszcze trochę trzęsą jej się ręce, a przecież niesie zupę dla don Fernanda i nie chce jej wylać. Idzie powolutku, spoglądając przed siebie, potem na talerz z zupą, a potem na podłogę, potem znów przed siebie, na talerz, na podłogę.

Stara się nie patrzeć na chleb.

Idzie bardzo powoli, jeszcze nigdy pokonanie drogi z kuchni do jadalni nie zajęło jej tyle czasu. Sztuńce dźwięczą, gdy stawia tacę na stole. Ale nie wylała ani kropli zupy. Ani kropelki.

– Pepa.

Głos don Fernanda dobiega z salonu. Pepa idzie tam, odgarniając z czoła niesforny kosmyk, staje jak najbliżej kominika, żeby przy okazji trochę się ogrzać, i mówi:

– Słucham pana?

Don Fernando odkłada gazetę na kolana i zdejmuje okulary, by na nią spojrzeć.

– Zimno dzisiaj. Zjem tutaj.

Pepa zostawia za sobą ciepło płomieni i wraca do tacy i do talerza, zdecydowana opanować rozdygotanie.

Nie chce patrzeć na chleb. Ale patrzy. Patrzy na niego, podnosząc tacę ze stołu, i mimowolnie się uśmiecha. Patrzy jeszcze raz.

I jeszcze raz się uśmiecha.

I znów drży.

I myśli o Hortensii. Wyobraża sobie, jak siostra ugryzie przyniesiony przez nią chleb, wyobraża sobie ten moment, kiedy jej usta natrafią na wiadomość od Felipe. Na list, który Felipe zostawił dla niej przy drodze na wzgórzu Cerro Umbría, pod trzecim kamieniem za słupem z nacięciem pośrodku, całkiem dużym i płaskim kamieniem, osłoniętym od drogi krzakami. Tym samym, który szwagier pokazał jej, kiedy zabrali Hortensię.

– Przyjrzyj mu się dobrze i zapamiętaj. Tutaj, w blaszanej skrzynce ukrytej pod tym właśnie kamieniem, coś ci zostawię. Weź to, tylko bardzo uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył, i zanieś Tensi.

Zawsze mówił o niej Tensi. Weź to, tylko uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył. Pepa spojrzała mu w oczy i nie przeszło jej przez gardło, że zaraz umrze ze strachu. Powiedziała, że przyszła tylko przekazać mu wiadomość. Że Gwardia Obywatelska liczy wieczorem zwierzęta we wszystkich gospodarstwach El Altollano i odbiera wieśniakom klucze do stodół i kurników, a rano oddaje te klucze i znów liczy zwierzęta, żeby się dowiedzieć, kto sprzedaje żywność partyzantom. I tak wpadła Hortensia, kiedy próbowała kupić kurę. Przyszła tylko po to, żeby mu to powiedzieć i żeby na nią nie czekał. Powinna była dodać, że przyszła cała struchlała z przerażenia i że kiedy czekała na niego skulona za krzakami, i usłyszała hasło – trzy uderzenia kamieniem – ze strachu o mały włos nie zapomniała, że w odpowiedzi też musi trzy razy zastukać. I że nie ma zamiaru

nigdy tu wracać, powinna była mu powiedzieć. Ale nie powiedziała. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich spojrzenie siostry, to samo spojrzenie, którym patrzyła na nią Hortensia, prosząc, by przyjechała tu ostrzec Felipe. Tym samym spojrzeniem patrzył na nią Felipe, więc Pepa musiała mu obiecać, że zanieś Hortensii wszystko, co będzie chciał jej przesłać.

Ale za pierwszym razem wszystko okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Tamtego poranka uniosła kamień ukryty za krzakami, otworzyła blaszaną skrzynkę i nogi przestały jej drżeć. Bo to, co zostawił dla Tensi Felipe, wcale nie było zakazane. Bez obaw mogła to zanieść. I wręczyć zakonnicy, która odbierała od krewnych paczki przy wejściu do więzienia Ventas. Był to tylko czysty zeszyt.

Czysty niebieski zeszyt.

LES PAYS NORDIQUES ET RECONNU PAR MO

de la centrale nucléaire soviét

SŁONECZNY WIOSENNY PONIEDZIAŁEK. WIADOMOŚCI O KATASTROFIE W CZARNOBYLU Z KILKUDNIOWYM OPÓŹNIENIEM DOCIERAJĄ DO POLSKI. RZECZYWISTE ROZMIARY ZAGROŻENIA ZNAJĄ TYLKO NIELICZNI. INFORMACJE SĄ SKUTECZNIE BLOKOWANE PRZEZ WŁADZE.

W kilka miesięcy po katastrofie pod oknami osiedlowego wieżowca ZNALEZIONE ZOSTAJĄ ZWŁOKI FIZYKA, który kwestionował oficjalne dane i przygotowywał niezależny raport dla prasy podziemnej. Prokuratora uznaje, że to samobójstwo, choć wiele faktów wskazuje, że to morderstwo na zlecenie. PRYWATNE ŚLEDZTWO PODEJMUJE DZIENNIKARZ TELEWIZYJNY, KTÓRY WKRÓTCE PRZEKONA SIĘ, ŻE CHODZI O COŚ WIĘCEJ NIŻ O ROZWIĄLANIE PROSTEJ ZAGADKI KRYMINALNEJ.

www.marginesy.com.pl

ISBN 978-83-928431-6-0



9 788392 843160

cena 34,90 zł

ner Mosey
rate of "a few millirems an hour" was not thought high enough to warrant the evacuation of the local population at Forsmark. It would not be a danger though said that high in and Norway. Any test or had been ish m Hagfor MO that it of its added tion happi sions (Christ Since Gorbachov March 198 repeated c press for m of disaster

the danger though said that high in and Norway. Any test or had been ish m Hagfor MO that it of its added tion happi sions (Christ Since Gorbachov March 198 repeated c press for m of disaster

Energy a Dahl, activity n could by winds from a Union or y. of the plant was

viet

By Thomson Prentice a e leak er degree of rac normal, and

WALISZUWA, Kok XL PL ISSN 0137-91

Awaria

w elektrowni na Ukra

OSKWA, WARSZAWA, TOKHOLM, 29.4
AK poinformowano w dniu 28 bm. w ostatnich dziennikach radiowych i telewizyjnych, w Czernobylskiej Elektrowni Atomowej na Ukrainie nastąpiła awaria. Uszkodzony został jeden z reaktorów atomowych. Podjęto przedsięwzięcia zaprzeczające do zlikwidowania skutków awarii.

Jej wyniku w poniedziałek nadawano w radio i telewizji z regionu

